LOKALNIE · ANALIZA

KRAJOBRAZ PO BITWIE. CZEMU PIS PRZEGRAŁ?

Kacper Kita · 18 października 2023



Stało się – centrolewicowa opozycja uzyskała większość w Sejmie. Prawdopodobnie oznacza to cztery lata rządów Donalda Tuska lub kogoś przez niego wskazanego. Wyniki poniżej oczekiwań uzyskały zarówno PiS jak Konfederacja. Rodzi to konieczność spokojnego, rzetelnego namysłu nad przyczynami tych rezultatów oraz perspektywami na przyszłość. Nazwanie błędów to znacznie lepsza droga naprzód niż użalanie się nad sobą i zrzucanie winy na zły świat. Tekst ten w założeniu ma raczej otwierać niż zamykać dyskusję, której bardzo potrzebujemy.

Czemu PiS uzyskał wynik poniżej oczekiwań?

Trzecia kadencja z rzędu dla tej samej partii nie jest zjawiskiem niespotykanym w USA czy Europie, choć dziś rzadszym niż kiedyś z racji na generalne polityczne rozchwianie świata zachodniego. Jest oczywiste, że PiS mógł dostać więcej niż 194 mandaty w Sejmie, mając do dyspozycji sprzyjające sobie media, zwiększając liczbę komisji obwodowych, organizując referendum w dniu wyborów. PiSowi sprzyjała także duża liczba wydarzeń na arenie międzynarodowej odciągających uwagę opinii publicznej od abstrakcyjnych i bzdurnych problemów w rodzaju „transfobii", a w kierunku twardych zagrożeń dla bezpieczeństwa, takich jak wojna na Ukrainie, napór imigrantów na granicę z Białorusią, napływ setek tysięcy imigrantów przez Morze Śródziemne, a w ostatnich dniach także atak Hamasu na Izrael.

Hasło „Bezpieczna przyszłość Polaków" było bardzo dobre. Niewiele było jednak pozytywnych treści opowiadających o owej bezpiecznej przyszłości. PiS stosunkowo niewiele mówił także o swoich sukcesach dotykających życia przeciętnego, niezaangażowanego politycznie ani ideologicznie Polaka, takich jak kilkukrotne zwiększenie liczby żłobków. Kampania PiSu zwłaszcza w ostatnich tygodniach była prawie wyłącznie negatywna, skupiając się na straszeniu Donaldem Tuskiem. Symbolem tego kierunku była debata w TVP, podczas której premier Morawiecki – człowiek, który miał personifikować umiarkowany kurs spod znaku Pieniądze i Spokój, były prezes banku mający zachodnie dyplomy i znający języki obce – kreował sam siebie na agresywnego zakapiora rzucającego teksty w rodzaju „banda Rudego" czy „genów nie oszukasz". Chyba dużo więcej sensu miałaby kampania, w której PiS przedstawiałby się jako ugrupowanie wielonurtowe, mające przekaz zarówno „twardy" jak „miękki", od Janusza Kowalskiego do Morawieckiego. PiS w latach 2015 i 2019 wygrywał na przekazie zrównoważonym, mającym wiele elementów pozytywnych, mających budzić nadzieję na przyszłość. Zamiast tego premier odgrywał rolę Janusza Kowalskiego w okularach, w której był w przeciwieństwie do oryginału zupełnie nieautentyczny.

Trzeba przy tym zdecydowanie rozróżnić treść – kwestie programowe – od formy przekazu. Z jednej strony rząd PiSu był znacznie ostrzejszy w retoryce niż w realnych działaniach. Z drugiej zaś tego rodzaju przekaz jest odpychający na poziomie czysto estetycznym czy emocjonalnym – dla osób o dowolnych poglądach, które potencjalnie mogłyby na PiS zagłosować. Od aideowych „normalsów" przez wyborców socjalnych, umiarkowaną centroprawicę, wszystkie odcienie szeroko pojętej prawicy po wyborców którzy mają bardzo jednoznaczne, patriotyczne, antyimigracyjne, antykomunistyczne lub narodowo-katolickie poglądy. Stratedzy PiS wychodzili zapewne z założenia, że skupiając się na demonizowaniu Tuska, zdemobilizują elektorat PO oraz zmobilizują własny. Efekt był jednak odwrotny – stracili część wyborców, a przede wszystkim zmobilizowali wyborców centrolewu i „normalsów", którzy poszli zgodnie z hasłem z plakatów WOŚP „wygrać z tym złem".

Być może najbardziej pomogło to Trzeciej Drodze, która ustawiła się na pozycjach „dialogu zamiast kłótni". A zapewne podstawową emocją większości widzów debaty i obserwatorów finiszu kampanii było zmęczenie agresywną nawalanką. Także Donald Tusk w ostatnich tygodniach mądrze zmienił przekaz na inkluzywny i dowartościowujący koalicjantów, a także postawił na hasła o uśmiechniętej Polsce, pojednaniu, zakończeniu wojny polsko-polskiej. PiS dystrybuował głównie przekaz „Tusk to Niemiec i zdrajca", gdy Platforma swoje ataki uzupełniała plakatami z uśmiechniętymi dziećmi na jasnym tle podpisanymi „zagłosuj dla mnie". Można było odnieść wrażenie, że PiS wierzy, że jest w stanie wygrać wybory na samym rozgrzewaniu emocjonalnym emerytów. Rozmawiałem przez te ostatnie tygodnie z wieloma młodymi ludźmi, w tym także sympatykami PiSu czy osobami zaangażowanymi w jego kampanię. Nikt nie mówił, że negatywny, agresywny i antytuskowy przekaz trafia do niego. Jedynym argumentem były rzekome magiczne badania przeprowadzone przez sztab, które miały pokazywać, że to właśnie się opłaca.

CZYTAJ TAKŻE: Kto wygrał poniedziałkową debatę wyborczą w Telewizji Polskiej?

Tym samym kampania weszła w koleiny z 2007 r. – uśmiech, spokój i pojednanie versus agresja, krzyki, walka ze złem. Porównanie nie jest oryginalne, pewnie każdy z Czytelników widział je już wielokrotnie – no dobrze, tylko skoro to takie oczywiste, bo rzeczywiście analogia sama się narzuca, to dlaczego nie było to oczywiste dla decydentów partii rządzącej? Wykonano pojedyncze ruchy, w niektórych spotach pojawiał się przekaz pozytywny, ale było go zbyt mało i zbyt późno. Błędem było również oparcie kampanii

tak mocno na temacie imigracji, w którym PiS jest wyjątkowo mało wiarygodny. Twierdzenia, że gwałty, przestępczość i utrata kontroli przez państwa Europy Zachodniej nad kolejnymi terytoriami wynikają wyłącznie z nielegalnej imigracji, były w oczywisty sposób bardzo grubymi nićmi szyte. PiS nie zrobił nic, by w kampanii odnieść się do problemu legalnej, pozaeuropejskiej, w tym muzułmańskiej imigracji zarobkowej – choćby w formie „zrobiliśmy błąd, negatywne skutki nie są jeszcze duże, teraz go naprawiamy".

> PiS z jakiegoś powodu zarzucił także swoją narrację z początku września – być może najlepszego dla tego ugrupowania momentu całej kampanii. Ciepłe obiady w szpitalach, remont bloków z wielkiej płyty, wycieczki szkolne do miejsc ważnych dla polskiej historii i kultury, wspieranie lokalnych producentów żywności – tego rodzaju propozycje mogły dotrzeć do „normalsa". Jednak po miesiącu, w ostatnich dniach kampanii, było o nich zupełnie cicho i mało kto był w stanie wymienić z pamięci choć trzy z „ośmiu konkretów PiS".

Niezwykła akoalicyjność

Sama gra na polaryzację była z punktu widzenia PiSu racjonalna. Podobnie robili Orban czy Erdogan. Także w USA w 2020 r. Joe Biden wygrywał z Donaldem Trumpem jako mniejsze zło, a ten sam schemat pozwolił Demokratom uzyskać remis w wyborach do Kongresu 2022 r. Jednak choć PiS mógł odegrać rolę Bidena, strażnika stabilności i odpowiedzialności, to wszedł w buty Trumpa. Choć przekaz Tuska przez ostatnie dwa lata był w znacznej mierze agresywny i negatywny, PiS zostawił mu na ostatniej prostej przestrzeń do przepoczwarzenia się w zwolennika starej „polityki miłości". Zbyt późno pojawiło się też hasło „Koalicji chaosu". W skrócie – polaryzacja ma sens, jeśli to Ty jesteś w zero-jedynkowym wyborze odbierany jako ten normalniejszy. Ostatecznie prawdopodobnie PiS utrzymał swój stan posiadania, a 411 tysięcy wyborców mniej w porównaniu z 2019 r. w znacznej mierze po prostu umarło – wiadomo, że partia (jeszcze) rządząca jest mocno nadreprezentowana wśród osób starszych.

Zasadniczym problemem PiSu jest jednak akoalicyjność, która jest fenomenem na skalę europejską. W żadnym innym dużym lub średnim państwie zachodnim nie ma partii, która jest w stanie wygrywać wybory, ma stałe poparcie ponad 30%, ale z zasady nie wchodzi w układy z innymi ugrupowaniami. Wyobraźmy sobie, że to nie Polska, tylko kraj X, w którym akurat odbyły się wybory, więc rzucamy jako zewnętrzni obserwatorzy okiem układ sił w nowym parlamencie. Wtedy zwycięstwo liberałów i lewicy wcale nie byłoby oczywiste. Przecież to PiS wygrał wybory, a Platforma musi zgromadzić pod jednym sztandarem sporo więcej partii i partyjek, żeby uzbierać 231 mandatów. Gdybyśmy mówili o kraju X, większość PiS+Konfederacja+PSL byłaby na papierze w oczywisty sposób jednym z możliwych wariantów – bynajmniej nie mniej naturalnym, niż zawierająca sporo wolnych elektronów koalicja łącznie bodajże jedenastu partii od Marka Sawickiego przez Romana Giertycha i Ryszarda Petru po Adriana Zandberga.

Jednak żaden z elementów nowej większości nie musi się obawiać, że Donald Tusk od pierwszego dnia wyśle za nim służby specjalne, prowokujące jego współpracowników do przyjmowania łapówek. Żaden były wicepremier w rządzie Tuska nie został zniszczony i sprowadzony na poziom 1% poparcia, nie miał próby samobójczej, nie zginął w tajemniczych okolicznościach, nie ukrywa się poza granicami kraju. Tusk oczywiście stara się swoich koalicjantów zmusić do podporządkowania sobie, ale nie przekracza pewnej granicy. Gdy ostatecznie ani Lewica, ani PSL, ani Szymon Hołownia nie zdecydowali się na wejście z PO

na jedną listę, a sondaże jasno pokazywały, że dobry wynik mniejszych list to niezbędny warunek większości centrolewu, Tusk zarzucił ataki na przyszłych koalicjantów.

> PiS przez osiem lat nie zrobił jednak zbyt wiele, by wypracować poprawne relacje ani z PSL, ani z najpierw tworzącą się, a dziś stojącą na własnych nogach Konfederacją. PiS nie miał swojego wentylu bezpieczeństwa, na który mogą zagłosować rozczarowani z jakiegokolwiek powodu wyborcy – Platforma ma Lewicę i Hołownię. Na ostatniej prostej PiS próbował zniszczyć Konfederację wypuszczając taśmy Banasia, co nie dało nic partii rządzącej, za to mogło doprowadzić do kolejnego przepływu poparcia z Konfederacji do Trzeciej Drogi.

CZYTAJ TAKŻE: Tusk z Kołodziejczakiem stawia na polaryzację totalną

Nie mamy Budapesztu ani Stambułu w Warszawie

Na koniec tego artykułu oczywista obserwacja – Polska nie stała się Węgrami ani Turcją. PiS nadwyrężył demoliberalne instytucje oraz spopularyzował resentyment wobec funkcjonalnej arystokracji demokracji liberalnej, ale nie zbudował demokracji nieliberalnej. Jest to prosty fakt, niezależny od tego, czy chcielibyśmy, by Polska taką demokracją nieliberalną się stała. Być może jednym z głównych grzechów PiSu była statolatria – uzależnianie wszelkich instytucji mogących stanowić przeciwwagę dla gigantycznej zachodniej presji politycznej i kulturowej bezpośrednio od decyzji czynników państwowych. Przez osiem lat nie zbudowano dużych prawicowych mediów prywatnych, prywatnego prawicowego wielkiego biznesu, prywatnych prawicowych szkół ani dużych uczelni. W tych sferach to, co zostaje po 2023 r., zazwyczaj istniało już przed 2015 r.

W XXI wieku państwo narodowe jest tylko w ograniczonym stopniu samosterowane, jeśli jego przestrzeń informacyjna jest kształtowana głównie z zewnątrz. Tak Erdogan jak Orban postawili na ograniczanie wpływów wielkiego kapitału zagranicznego w mediach, często zaangażowanego ideologicznie i politycznie. Ograniczyli także jego możliwości kształtowania opinii publicznej poprzez finansowane z zewnątrz organizacje pozarządowe, zazwyczaj o profilu skrajnie lewicowym. PiS nie zrobił tego, mimo wielokrotnych werbalnych narzekań chociażby na niemieckie fundacje, wprost z budżetu Republiki Federalnej wspierające liberalno-lewicową opozycję. Sławomir Sierakowski, którego działalność jest wspierana w znacznej mierze właśnie przez niemieckiego podatnika czy granty osławionego George'a Sorosa, mógł z radością stwierdzić – „Kaczyński może mi skoczyć". Lex TVN pozostał straszakiem. Jedyna istotna repolonizacja mediów została przeprowadzona w ramach wykupu przez spółkę skarbu państwa – a więc ich profil ideowy zmieni się wraz ze zmianą władzy. W życie nie wszedł nigdy także żaden z kilku przygotowywanych w obozie PiSu projektów jeśli nie ograniczenia, to choćby zwiększenia transparentności źródeł finansowania wielkich NGOsów, będących często *de facto* ekspozyturami obcych wpływów systemowo formującymi polską opinię publiczną.

W 1994 r. Viktor Orban tak krytykował (według relacji Jozsefa Debreczeniego) pierwszego pokomunistycznego premiera, konserwatywnego Jozsefa Antalla: „Ponosi osobistą odpowiedzialność. Nie dlatego, że jesteśmy w opozycji. Dlatego, że jesteśmy w opozycji i jesteśmy goli. Nie mamy ani jednej gazety. Niektóre gazety ukradziono, w tym na jego oczach, a resztę pozostawił we władaniu państwa. Nie

ma radia ani stacji telewizyjnej. I dla tego nie ma usprawiedliwienia". Zdaniem Orbana błędem Antalla było też zaniedbanie relacji z „ośmioma do dziesięciu wielkich kapitalistów. Potem trzeba było jasno dać do zrozumienia przed bankowcami, że tych ośmiu do dziesięciu ludzi to nasi. A potem pozwolić wielkiemu biznesowi urządzić wszystko zgodnie ze swoją logiką. (...) Dla Antalla w polityce nie ma miejsca na biznes, choć biznes to istota polityki".

Podobnie Orban postępuje z uczelniami wyższymi. Gdyby Fidesz w 2022 r. stracił władzę – na co długo wskazywały sondaże – jego środowisko zostałoby nadal z ogromnymi możliwościami systemowego kształcenia kadr poza paradygmatem liberalno-lewicowym. Swoje szczęście widzą przedstawiciele lewicy tacy jak prof. Michał Bilewicz, który napisał na Twitterze: „Ale wiecie, co jest naszym, naukowców, największym fartem? Że PiS nie zgapił orbanowskiego pomysłu na *prywatyzację* uczelni. Wtedy byśmy po wyborach zostali z uniwersytetami kontrolowanymi dożywotnio przez Cenckiewicza, Żaryna, Nalaskowskiego, Zybertowicza, Rybę i ks. Guza". Trwała przebudowa systemu kształcenia była także priorytetem Recepa Tayyipa Erdogana. Turecki przywódca od początku rządów wspierał prywatne szkolnictwo religijne, stopniowo przekształcając w szkoły muzułmańskie placówki państwowe. Między 2002 r. (objęciem władzy) a 2016 r. liczba uczniów szkół *imam hatip* wzrosła z 60 tysięcy do aż 1,5 miliona. Finansowane przez państwo prywatne szkolnictwo religijne jest wreszcie podstawą sukcesu izraelskich ortodoksów. To m.in. dzięki temu oraz szerzej polityce wspierania ortodoksów przez kolejne rządy Izrael z państwa demoliberalnego rządzonego dekadami przez lewicę staje się coraz bardziej narodowo-religijnym. W razie utraty władzy przez prawicę w wymienionych krajach jej zaplecze i zwolennicy mają nadal poważne przyczółki pozwalające choćby na wychowywanie swoich dzieci zgodnie z wyznawanymi wartościami.

Ta statolatria miała zapewne prostą przyczynę – chęć kontroli. Prywatnemu partnerowi nie da się po prostu rozkazywać ani go od ręki zwolnić, trzeba się z nim jakoś ułożyć. Owszem, czasem taki partner się zbuntuje, jak Lajos Simicska przeciw Orbanowi. Długofalowo jest to jednak bezpieczniejszy oraz zdrowszy model – również dlatego, że taki zaangażowany kapitał narodowy może lepiej zarządzać powierzonymi zasobami, zachowuje pewien stopień niezależności i jest prędzej zdolny do myślenia kategoriami ideowymi, a nie *stricte* partyjnymi. PiS w znacznej mierze ponosił i tak na arenie krajowej i międzynarodowej koszty rzekomej „budowy autorytaryzmu", „faszyzmu", „reżimu" etc. Nie wykonał jednak wielu działań istotnie i trwale uderzających w paradygmat demoliberalny. Orban przy swoim cwaniactwie potrafi także lepiej dogadywać się z europejskim establishmentem, choć odszedł od modelu demoliberalnego znacznie dalej niż PiS. Oczywiście także bez przebudowy aksjologicznej czy instytucjonalnej państwa PiS mógł po prostu trzeci raz z rzędu uzyskać władzę lub przynajmniej zdobyć wynik pozwalający na blokowanie powstania rządu centrolewicy – jak Erdogan w 2015 r., który najpierw stracił większość, a potem odzyskał ją po kilku miesiącach w przyspieszonych wyborach parlamentarnych.

Obecnie przed PiSem stoi jednak przede wszystkim problem utrzymania spójności politycznej obozu, utrzymania możliwie ciepłych relacji z Andrzejem Dudą oraz wyboru wspólnego i mającego szanse kandydata do kolejnych wyborach prezydenckich.

Ciąg dalszy w kolejnych artykułach, gdzie zajmę się m.in. wynikiem Konfederacji, perspektywami stabilności nowego rządu i przyszłością polskiej prawicy.

fot: twitter @pisorgpl

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/krajobraz-po-bitwie-czemu-pis-przegral/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć